

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM KSIĄŻKOWYM.

JULIUSZ VERNÉ

## Wśród Łotyszów.

Przekł. J. P.

(Ciąg dalszy).

### IV. W karetce pocztowej.

W owym czasie w prowincjach Nadbałtyckich była już przeprowadzona kolej żelazna, idąca północnym brzegiem Estonii wzdłuż zatoki Fińskiej. Z miast większych jeden Rewel leżał przy tej linii, lecz z Rygą i Mitawą posiadał tylko komunikację pocztową. Podróżni mieli do swego rozporządzenia albo najpierwotniejsze wehikuly, proste bryczki, albo karetki pocztowe. W zimie, oczywiście, zastępowano je saniami. Karetka pocztowa, kursująca między Rygą a Rewlem, odchodziła dwa razy na tydzień.

13-go kwietnia rano w karetce, odchodzącej do Rewla, zajęte było jedno tylko miejsce. Podróżny, człowiek około pięćdziesięcioletni, uśmiechnięty wesoło, wyglądał bardzo dobrodusznie i pocziwie. Ubrany był w ciepłe futro. Pod pachą trzy-

mał skórzany pugilares. Gdy wszedł do bjura, konduktor zwrócił się do niego z wyrazami zadowolenia:

— Dzień dobry, Poch! A więc to ty zamówieś miejsce w karetce?

— Tak, to ja, Broksie.

— Ho! ho, więc ci już bryczka nie wystarczy! Wymagasz powozu i dobrej trójki!

— I dobrego konduktora, jak ty, stary przyjacielu...

— Ho, ho, nie oglądasz się zatem wcale na wydatki!

— Nie! szczególnie gdy płacę nie sam.

— A któż płaci za ciebie?

— Mój pryncypał... p. Franz Johansen.

— Ba! — zawołał konduktor, — ten to mógłby zakupić wszystkie cztery miejsca, gdyby mu się spodobało...

— Naturalnie, lecz ja zamówiłem tylko jedno, wolę bowiem odbywać podróż w towarzystwie. Nie tak się przykrzy droga...

— Tym razem, mój kochany, nie będziesz miał ani jednego towarzysza.

— Czyż to być może?

— Zdarza się to rzadko, lecz się zdarza... Chyba ktoś się znajdzie po drodze... Nie martw się jednak zby-



Wśród lasu mknęła karetka.



tnio, wiesz, że ja jestem zawsze skory do pogawędki.

— Tak jak i ja, Broksie!

— Dokąd jedziesz?

— Do Rewla. Do filii firmy Johansenów.

Tu Poch mrugnął lekko, wskazując okiem na pugilares, przytwierdzony do pasa za pomocą miedzianego łańcuszka.

— Tu, mój kochany, — przerwał Broks, o tem lepiej nie wspominać... Nie jesteśmy już sami ..

Istotnie w tej chwili właśnie wchodził do biura nowy podróżny, który mógł zauważyć wymowny ruch kantorowicza.

Podróżny ten, szczelnie otulony burką, w kapiszonie nasuniętym na oczy, wyglądał jak człowiek, który się starannie ukrywa. Zbliżył się do konduktora z zapytaniem:

— Czy jest jeszcze wolne miejsce w karetce?

— Są aż trzy—odparł Broks.

— Jedno mi wystarczy.

Dokąd bilet? Do Rewla?

— Tak. Do Rewla — odparł po krótkim wahaniu.

Zapłacił za bilet i zapytał krótko:

— O której odjeżdżamy?

— Za dziesięć minut.

— Gdzie zanocujemy?

— W Parnawie, o ile śnieżyca się nie zerwie...

— Czy nam to grozi?—zapytał.

— Hm, — odparł Broks, — pogoda mi się nie podoba. Chmury napływają z szybkością niezwykłą... Oby się skończyło na deszczu... Obawiam się jednak śniegu...

— Słuchaj, Broks, zdaje mi się, że nie żałując napiwków, możemy stanąć w Rewlu jutro przed nocą...

— Byłoby to bardzo pożądane! Trzydzieści sześć godzin! W zwykłych warunkach to dosyć zupełnie...

W takim razie w drogę! nie zwlekajmy chwili! — zawołał Poch.

— Konie już zaprzężone — odparł Broks. Nie czekam dłużej na nikogo. No, a teraz na szczęśliwą drogę wypijmy po kieliszku wódki.

Wstąpili do pobliskiego szynku, dając znak pocztylionowi, ażeby poszedł za nimi. W parę minut później wrócili do karetki, gdzie się już usadowił nieznamy. Poch umieścił się obok niego. Karetka ruszyła w drogę. Koniki były małe, chude, lecz rącze. Woźnica nie potrzebował uciekać się do bicza. Pędziły dobrym kłusem.

Poch oddawna już należał do personelu domu bankowego braci Johansenów. Służbę rozpoczął jeszcze za lat dziecięcych. Cieszył się wielkiem zaufaniem ze strony pryncypałów; często bardzo wysyłano go w interesach firmy do Re-

wla, Parnawy, Mitawy, powierzając znaczne nawet sumy. Tym razem miał w pugilaresie piętnaście tysięcy rubli.

Do pośpiechu miał powód niezmiernie ważny, jaki mianowicie, dowiemy się niebawem z rozmowy z Broksem.

Woźnica zaciął konie. Podróżni nasi minęli szybko przedmieście północne i znaleźli się na gościńcu.

Tuż za Rygą znajdowały się pola uprawne, lecz nieco dalej, na odległości dziesięciu lub dwunastu wiorst ciągnęły się bezkresne, monotonne równiny, tu i owdzie tylko poprzerzynane gęstym, zielonym lasem.

Jak słusznie zauważył Broks, wygląd nieba był bardzo niepokojący. Od czasu do czasu zrywał się gwałtowny wicher, skupiający chmury, które zakrywały słońce. Śnieżyca zapowiadała się coraz wyraźniej.

Co dwadzieścia wiorst zatrzymywano się na stacyach pocztowych, gdzie zmieniano konie, pocztylionów i pędzono dalej.

Poch prędko bardzo zrozumiał, że nieznamy towarzysz nie nadaje się zupełnie do bliższej znajomości. Rozparł się w rogu karety, nasunął na czoło kapiszon i spał, lub też udawał, że śpi.

Wszelkie próby zawiązania z nim rozmowy spełzły na niczem. Wobec tego Poch otworzył przednie okno karety i rozpoczął pogawędkę z Broksem, siedzącym obok woźnicy. Obaj byli gadatliwi, języki więc obracały się jak w kołowrocie.

— A więc, twierdzisz z całą pewnością, Broksie, — pytanie to ponawiał Poch już po raz czwarty, — że jutro wieczorem będziemy w Rewlu?...

— Tak, jeżeli pogoda nam nie przeszkodzi.

— W Rewlu karetka zatrzyma się całą dobę!...

— Tak — odparł Broks.

— I ty także pojedziesz z powrotem do Rygi?

— Pojadę.

— O, mój Boże, co jabyś za to dał, żebyśmy już wracali, razem oczywiście...

— Razem... dzięki ci za tyle uprzejmości...

Lecz skąd ten pośpiech?...

— Mam dla ciebie zaproszenie, kochany Broksie.

— Dla mnie?

— Tak. Powinieneś być zadowolony, lubisz bowiem dobrze zjeść i wypić w kółku dobranym...

— Ba, któżby tego nie lubił!— odparł Broks, mlaskając językiem—więc tu idzie o jakiś obiad?

— O coś dużo lepszego... O ucztę weselną...

— Weselną!—zawołał konduktor.—A któż to ma mnie prosić na wesele?...

— Pan młody... który zna ciebie osobiście.

— Zna mnie osobiście?...



— I panna młoda także...  
 — W takim razie przystaję chętnie... nie pytajac nawet, kto są państwo młodzi...  
 — Zaraz się dowiesz..  
 — Wpierw jednak powiedz mi, czy to są ludzie porządni..  
 — Tak sądzę... Przecież to ja się żenię!..  
 — Ty, Poch?  
 — Tak, ja... żenię się z tą zacną, miłą Zofią Adelin.  
 — Istotnie to idealna niewiasta... Przyznam się, że się tego nie spodziewałem..  
 — Dziwisz się?  
 — Ani trochę... będziecie stanowili parę bardzo dobraną, pomimo, że ty, mój kochany masz już lat pięćdziesiąt.

— A Zofia czterdzieści pięć — dokończył Poch z westchnieniem. — Ha, cóż robić! Krócej będziemy szczęśliwi! Widzisz, mój drogi, kochać się można zawsze, ale żenić tylko wtedy, kiedy pozwalają środki... Gdyśmy się poznali, miałem lat dwadzieścia pięć, a ona dwadzieścia... Lecz oboje razem mieliśmy niecałe sto rubli... Trzeba więc było czekać i pracować... Oszczędzaliśmy się we wszystkim i zbieraliśmy pieniądze. Dziś ja mam pięćset rubli rocznie. W dniu ślubu otrzymuję podwyżkę... Zofia zarabia prawie to samo... Jesteśmy więc bogaci... Nie posiadamy wprawdzie ani czwartej części tego, co zawiera mój pugilares...

Tu urwał, rzucając nieufne spojrzenie na towarzysza podróży, który drzemał w kącie...

Po chwili zaczął znowu:

— Tak, jesteśmy bogaci... ma się rozumieć, odpowiednio do naszych wymagań... A że tak długo czekaliśmy na siebie, to nic nie szkodzi... takie czekanie potęguje miłość... upewnia co do przyszłości...

— Masz słuszną najzupełniejszą...

— Zofia ma zamiar założyć sklepik.. Właśnie sprzedaje się obecnie jeden, w pobliżu portu.

— Ja ci obiecuję dostarczyć dużo klientów — przerwał Broks z zapalem.

— Dziękuję ci, przyjacielu, dziękuję serdecznie. Należy mi się to, co prawda, wzamian za miejsce, które ci wyznaczyłem przy uczcie weselnej.

— Jakżeż to miejsce?

— W pobliżu panny młodej. Zobaczysz, jak piękna będzie Zofia w sukni ślubnej, w wieńcu mirtowym na głowie i w naszyjniku, który jej podarowała pani Johansenowa.

— Wierzę ci najzupełniej. Kobieta, która jest tak dobrą jak Zofia, nie może być brzydką... Ale kiedyż ślub?

(c. d. n.)

## Wspomnienia z lat młodzieńczych.

przez St. Br.

(Ciąg dalszy.)

Po drodze uczyliśmy się trochę manewrów, były i rekonesanse i pikiety i hasło i alarmy; nareszcie po kilku dniach właśnie kiedy pokazywałem, jak strzelec powinien się ukrywać za drzewem wobec nadchodzącego oddziału nieprzyjacielskiego, obchodząc drzewo tak aby go oddzielało od przypuszczalnego środka oddziału t. j. aby środek oddziału, środek drzewa i środek strzelca znajdowały się na jednej linii (patrz Mayne Read), naraz rozległ się w lesie przytłumiony huk echa. Parada zerwał się z pieńka, na którym siedząc przypatrywał się manewrom, w tejże chwili rozległ się drugi taki sam huk, a po pewnym czasie znowu dwa szybko po sobie następujące.

Schwyciwszy w jednej chwili ubranie, ową halabardę i żywność, z okrzykiem: ratujmy braci! pędem rzuciliśmy się w kierunku, skąd zdawało się, że ten huk dochodził.

Lecz Parada, krzycząc i łając, wkrótce nas wstrzymał i wyrecytowawszy energiczną choć krótką admonicyę, pohamował nasz zapal w mgnieniu oka.

Nastąpił rodzaj rady wojennej: młodszy chcieli odrazu uderzać z tyłu na armaty, starsi wysłać rekonesans i zbadać okolicę.

Moje zdanie, aby uczynić dywersyę z tyłu nieprzyjaciela bez względu na nic, zyskało uznanie Parady. Zważywszy jednak, że odległość od placu boju według zdania starszych wynosiła kilka mil, ruszyliśmy wprawdzie pospiesznym marszem, ale stępa, a nie pędem jak pierwiej.

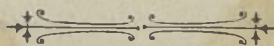
Tymczasem armaty wciąż grały. Wspaniały, potężny ich głos, to słabiej, to silniej, nas dochodził.

Owa wymarzona chwila w czasie wieczornych pogawędek, zdaje się niemożliwa do urzeczywistnienia, stawała się rzeczywistością. Każda żyłka w nas drżała: nareszcie, nareszcie! Jakże żałowałem kolegów, co pozostali w domu i nie mogli tego słyszeć.

A tymczasem dźwięczny głos armat jakby nas popędzał, i naraz, mimo znużenia, niepowstrzymanie buchnęła z piersi pieśń Dąbrowskiego. Szliśmy tak długo, bez odpoczynku, bez jedzenia, bez picia, aż nareszcie pod wieczór armaty momentalnie ucichły.

Naturalnie, zdobyte! nasze! a nas tam nie było!! Jeden Parada uspakajał, że armat dużo i jeszcze dla nas wystarczy.

Gdy jednak armaty ucichły, odczuliśmy całe zmęczenie. Padliśmy na miejscu, ale do-





piero w jakie pół godziny zaczęliśmy jeść, a zwłaszcza pić wodę z wódką lub winem, któregośmy kilka butelek ze sobą mieli.

Po krótkiej naradzie ponieważ okazało się, że bitwa o tyle się prawie odsunęła od nas, o ileśmy się przysunęli do niej, gdyż natężenie huków nie zmieniło się prawie, mimo całodziennego forsowanego marszu, — Parada postanowił stanowczo w krzakach zanocować, a na drugi dzień od świtu wyruszyć, przytem plan ataku został ułożony tak, iż mieliśmy podsunąć się jak najciszej pod nieprzyjaciela z tyłu o ile można krzakami, gdyż Parada do krzaków daleko miał więcej zaufania niż do lasów, a następnie plunawszy z tyłu siekającymi z owych dwóch karabinów, całym pędem rzucić się do ataku.

Liczyliśmy przytem, że nam się uda porozumieć się za pomocą sygnałów z walczącą partią tak, że przeciwnik, zaatakowany z dwóch frontów, będzie pobity.

Na tem tedy stanęło i wkrótce rozstawiwszy pikiety i wyznaczwszy zmiany, co wszystko do mojej atrybucji należało, wyciągnęliśmy się na liściach i jak zwykle po odmówionej modlitwie zasnęli kamiennym snem.

Już to spało się wtenczas prawdziwie kamiennym snem i choć na mokrej ziemi, a czasami tylko na liściach.—zawsze doskonale.

Zwykle ta połowa ciała, która dotykała ziemi, rozgrzewała się doskonale, ale za to druga część ciała, wystawiona na zewnątrz, kostniała od zimna, tak, że po kilku godzinach snu budziliśmy się. Wtedy szybko przewracaliśmy się na drugi bok, kładąc zziębniętą część na rozgrzanej ziemi, co sprawiało rozkoszne uczucie ciepła, i znowu zasypialiśmy momentalnie.

Z czasem przyzwyczailiśmy się skutecznie przekładanie automatycznie przez sen.

Zasnęliśmy tedy o zmroku, ale już o pół nocy zbudził nas Parada; zebrawszy pikiety, ruszyliśmy prawie w przeciwnym kierunku od wczorajszego, jakiś żyd bowiem w nocy przywiózł mu wiadomość, że tam jakiś ogromny oddział naszych maszeruje, a ta bitwa którąśmy słyszeli, była bardzo daleko aż koło granicy. <sup>1)</sup>

Ruszyliśmy tedy przecierając oczy i drzeмиąc, choć nogi szły, ale jeden na plecach drugiego kładł rękę, i takżeśmy drzemali, gdyż nam się kanibalsko spać chciało.

Nad ranem przyprowadził nas Parada do jakiegoś strumyka. Tam po posiłku kazał nam

<sup>1)</sup> W owych czasach armaty były brązowe, o średnicy daleko większej niż obecnie stalowe, stąd też huk strzału był dźwięczny, poważny, trochę podobny do dzwonu i z wiatrem albo po wodzie rozchodził się bardzo daleko.

się umyć, oporządzić, oczyścić broń, wogóle „przybrać się jak na Wielkanoc na sumę“.

Pamiętam, jak kolega M. z Pietrkim zajadł tarli piaskiem ową halabardę, „żeby się szelma świeciła jak słońce“, o karabinach nie ma co i mówić! Nieszczęsne karabiny pewnie od urodzenia tyle i takiego drapania najróżnorodniejszymi przedmiotami nie użyły. Jakoż i świeciły się jak słońce, na staruszkę jednak halabardę niewielkie to wszystko wywarło wrażenie, ku rozpaczy Pietrka, któremu była powierzona, pozostała szaro-popielatej-matowej barwy. A biedny Pietrek przywiązał się do niej i obiecywał ciągle, że jak nią świśnie, to będą łby leciały jak dojrzałe gruszki z drzewa. Rzeczywiście pasowali do siebie wzajemnie, jego niepomiernej szerokości ramiona do tej ogromnej halabardy, która bodaj że była berdyszem zdobycznym z XV albo XVI wieku.

#### 4. Spotkanie oddziału.—Radość.—Marsze.—Noclegi.

Takśmy tedy stali koło tego strumienia, zabawiając się śniegiem, którego kupkę znaleźliśmy w wyrwie pod kupą liści, choć już ciepło było.

Naraz z daleka usłyszeliśmy jakby akord harmonijny, potem znowu przycichło, i znowu zabrzmiało w miarę jak wiatr przynosił lub przycichał. Zerwaliśmy się wszyscy, wytknęli uszy jak zające, aż wyraźnie posłyszeliśmy skoczne dźwięki znanej piosenki: „My Polacy, my rodacy“. Więc kiedy nie rzucimy się naprzód pędem, zapomniawszy o wszelkich czwórkach, formowaniu się i t. p. jak to było projektowane, ułożone i wyuczone!

Ale cóż, skoro pan naczelnik i pan adjutant, pierwsi rwali przez las, skacząc jak dziki przez kłody i jamy, krzycząc wielkim głosem: nasi! nasi!

Nareszcie dopadliśmy do szerokiego gościńca i ujrzelśmy ciemną masę, szli grzmiącym krokiem „z nogi“ widocznie bowiem wprawiali się w maszerowanie. Nad tą masą w promieniach wschodzącego słońca błyszczały i migotały kosi i bagnety.

— Nasi!—Jezus Marya nasi!—wrzasnął M., i brzdąc, jak długi w rów, aż chlupnęło w górę; wypadkowi jego zawdzięczam, że sam rów zobaczył i suchą nogą go przebył.

Na przodzie szła tedy szpica, dwóch kawalerzystów w popielatych włankach, w rogatywkach czerwonych z białym barankiem i z białym piórkiem, na tęgich koniach przy pałaszach, z pistoletami w olstrach: byli to chłopcy na schwał, jak malowani.

Dawajże ich tedy ścisnąć, całować, częstować, ledwo nam się z objęć wyrwali, a tu



grzmi w dalszym ciągu „Zaśpiewamy sobie“ aż się echo rozchodzi po bukowym lesie.

O parę set kroków za szpicą — awangarda; kilkadziesiąt koni także ułanów, jak ci dwaj na szpicie, szerokie, białe szablice, miny do stu dyabłów, nasi! nasi! konni, zbrojui, Bożeż mój, Boże!

Znowu parę set kroków za awangardą idą strzelcy; popielate bluzki, karabinki krótkie z ogromnemi płaskimi bagnetami, ludzi około 200. Byli to tak zwani Galicjanie, przeważnie bowiem składała się ta kompanja z Galicjanów.

Za nimi szli kosynierzy, potem znów strzelcy, w dubeltówki i pojedynki uzbrojeni, potem ochotnicy, którzy mieli dobiero jutro broń otrzymać, i do których przyłączyliśmy się. Dalej szły furgony z bronią, amunicyją, a z tyłu znowu aryergarda z piechoty i kawaleryi złożona. Razem z górą było tysiąc ludzi, którzy stanowili połączone partye Czerwińskiego i Żarpłachty.

Na widok takiej potęgi, tyle razy nasz oddział przewyższającej, byliśmy przekonani, że najdalej za dwa, trzy tygodnie staniemy w Warszawie. Wszyscy mniej więcej składający partye, byli jak najlepiej usposobieni, grzmiący śpiew „My Polacy, my rodacy,“ nie ustawał.

Po przenocowaniu w lesie, na drugi dzień stanęliśmy we wsi, i tam się zaczęło rozdawanie broni i rozdzielanie ochotników, których zastaliśmy już sporą ilość.

I tu nastąpił tragiczny moment, albowiem jakiś już dobrze siwy pan kapitan, ustawivszy wszystkich ochotników we front, powybierał nas wszystkich młodszych około czterdziestu, palną admonicją o szkole i stanowczo odmówił przyjęcia do jakiegokolwiek bądź rodzaju broni.

Odeszliśmy więc mocno skonfundowani, a niektórzy ze łzami w oczach i dając narażać się, co będziemy robić? Gdyż z całej naszej liczby wybrakowanych, dwóch tylko zgadzało się wracać do domu, ja zaś postanowiłem szturmować dalej o przyjęcie, wrazie zaś ostatecznej odmowy, wojować na własną rękę, jeździć z raportami, psuć telegrafy, palić mosty i t. d. Tymczasem dowiedziawszy się, że naczelnik ze sztabem stoi we dworze, udałem się do niego, ale dwaj strzelcy stojący w bramie skrzyżowali bagnety i trza się było cofnąć.

Zacząłem więc szukać Parady, którego między ochotnikami niewidziałem. Dowiedziawszy się, że jeszcze wczoraj został zamianowany dowódcą kosynierów, udałem się do niego. Parada oświadczył mi, że do niego przyjmowanie ochotników nie należy, ale on tak zrobi, że mnie z pewnością przyjmą. Jakoż poszedł ze mną do naczelnika, a gdy stojący w bramie

dumni strzelcy przed nim stanęli frontem, przyznając się, że miałem wielką chęć pokazać im figę.

We drzwiach od sieni stało znowu dwóch strzelców Galicjan, którzy także stanęli frontem przed moim towarzyszem; z sieni na lewo przez otwarte drzwi zobaczyłem za stołem dwóch oficerów, którzy coś pisali, gdy zaś weszliśmy na prawo, zobaczyłem ogromną salę z dużym obficie zastawionym stołem, a na około siedziała masa oficerów; niektórzy z nich już dobrze siwi, a jeden potężny starzec z długą białą brodą; jak mi potem objaśniono był to jeszcze Napoleończyk.

Parada podszedł do jednego z oficerów, na głównem miejscu siedzącego, i zaczął coś z nim mówić, ten zaś po krótkim czasie roześmiał się, spojrział na mnie, a zwróciwszy się do jednego z owych siwych oficerów rzekł tak, że i ja usłyszałem:—Więc niechże go pan major wyegzaminuje.

Olbrzymiego wzrostu, potężnej budowy pan major kiwnął na mnie, a gdy podszedłem bliżej i stanąłem frontem, wyprężywszy się jak struna, wolno groźnym okiem przeciągnął po mnie z góry do dołu, a potem z dołu do góry i mocno śpiewnym Litewskim akcentem rzekł: A przynieście no tu karabin i ładownicę, ten rekrut *taki* wprawdzie zdaje się coś umie.

Podano natychmiast karabin i ładownicę, którą zaraz włożyłem na siebie, poprawivszy wprzód rzemienia, który był za długi, a karabin wziąłem w prawą rękę, spuściwszy go jak na komendę: do nogi broń. (D. c. n.)



## Z Wilna.

Urywek z listu.

„...Zaczęliśmy już uczęszczać na wykłady 23 stycznia, ale nie o tem chcę ci pisać, bo wykłady, jak wykłady—nic w tem niema specjalnie zajmującego do pisania, tymbardziej, że się właściwie nic w nich nie zmieniło.

Ale na przyszłość roimy piękne plany, bo czynią tu starania o założenie prywatnego uniwersytetu polskiego. Jeżeli ten plan się urzeczywistni, to w starym grodzie Gedymina może znowu, jak przed stu laty rozpali się ognisko wiedzy i nauki. Przyjedziesz wtedy do Wilna i będziemy razem: rano studyowali, po południu wędrowali po prześlicznych naszych okolicach, a wieczorem pisali i deklamowali wiersze, jak Mickiewicz, Odyniec, Zan i Czeczott.



„A ruch literacki u nas się wzmagają niezmiernie. W ciągu czterech miesięcy, odkąd wprowadzono wolność prasy, mamy już tu w Wilnie dwie gazety codzienne: *Kuryer Litewski* i *Nowiny Wileńskie*, (ma być trzecia) i dwa tygodniki dla ludu...

„Ale nie koniec na tem, i my mamy swoje pismo tygodniowe nie drukowane jeszcze, ale rozchodzące się w dość licznej kole. Jest to „*Pogoń*“ organ samokształcenia się młodzieży polskiej w Wilnie, przez nas samych redagowany i wydawany.

„Posyłam ci nr. 11, bo poprzednich już zabrakło, widzisz, że poważnie i w duchu narodowym zabrał się do dzieła. Znajdziesz tam i artykuły poważne i wiadomości o życiu młodzieży szkolnej i nowelki i powieści i nawet złośliwą ale słuszną satyrę. Powiadam ci, mamy wcale niezłe pióra!

„Znając twoje poglądy i ideały, wiem, że cię „*Pogoń*“ ucieszy, a teraz, skończywszy *de publicis*, przechodzę do naszych spraw prywatnych...”

X.



## STRASZNY SĄD.

rys. GRÉVILLE.

Wielki sąd, straszny sąd,  
Świadków stoi cały rząd  
Każdy widział — jak na złość:  
Fok Brysiowi porwał kość!  
Wielki sąd, straszny sąd,  
Świadków stoi cały rząd,  
Utkwili w sędziego wzrok:  
Jak skazany będzie Fok?

Wielki sąd, straszny sąd,  
Świadków stoi cały rząd;  
Sędzia myślał godzin sześć:  
Nim wyroku orzekł treść.  
Wielki sąd, straszny sąd,  
Świadków stoi cały rząd..  
I rzekł sędzia: niech na złość  
Bryś Fokowi porwie kość...

Lach.





## Korkowe drzewo.

Korki robią się z kory dębu, znanego pod nazwą „korkowego“, który rośnie w południowej Francji, Hiszpanii, we Włoszech i Algierze.

Drzewo rośnie w spokoju do lat trzydziestu i wtedy dopiero poraz pierwszy obłupują z niego korę, która porasta tak prędko, że po latach ośmiu lub dziesięciu można ją zdjąć znowu. Po zdjęciu kory, prostują ją, kładąc na niej znaczne ciężary, a niekiedy przygrzewają przy ogniu, żeby ściągnęły się pory.

Wiadomo, jak dużo korków zużywa się do butelek; dawniej do tego głównie służył korek. Ale z biegiem czasu zaczęto używać go do wielu innych rzeczy, do których nadaje się z powodu lekkości i nieprzemakalności. Koła do ratowania tonących wyrabiają się z korka, do butów i trze-

wików wkładają korkowe podeszwy, chroniące od wilgoci i zimna. Wnętrze letnich kapeluszy — zwłaszcza w południowych krajach wkładają korkową masę, która nie przepuszcza gorąca, a nawet wyrabiają całe kapelusze z korka. Korkową masą osłaniają przedmioty, które trzeba zabezpieczać od zepsucia. W Portugalii rolnicy robią z korka rodzaj koszyków lub torebek, w których zabierają żywność, idąc na robotę w pole.

Korki mielone i w odpowiedni sposób połączone gumową masą, służą do wyrobu linoleum, które odznacza się nieocenionymi zaletami, jako pokrycie posadzek.

W ostatnich czasach zaczęto używać korkowej masy do wykładania ścian, co zabezpiecza od zimna i wilgoci, nie obciążając zbytnio budowli, a czasem nawet stawiają całkowite ściany, mające bardzo pożądaną własność tłumienia wszelkich odgłosów.



Zdejmowanie kory z dębu korkowego w Afryce północnej.



Korkowe drzewo oddaje tak wielkie usługi, iż żałować należy, że rośnie tylko w południowych krajach. Kto wie jednak, czy z czasem — przy usilnych staraniach nie dałoby się przyswoić go i w naszym klimacie?

Pomimo, że prawdziwy korek otrzymuje się tylko z korkowych dębów, są jednak i u nas drzewa, których kora ma własności zbliżone do korka: do takich należą klon i olcha, o czym łatwo się przekonać, zwłaszcza na młodych pędach.

Załączona rycina przedstawia zbiór kory korkowej w północnej Afryce.



## Król duński Chrystyan IX.

Przed dwoma tygodniami zmarł w Kopenhadze w 88 roku życia sędziwy i szlachetny król duński Chrystyan IX, ojciec Cesarzowej — wdowy Rosyjskiej, królowej Angielskiej, króla greckiego, dziadek króla Norweskiego.

Od najmłodszych lat przyświecała mu gwiazda szczęścia. Ulubieniec dworu duńskiego, z którym wcale nie był spokrewniony, uznany został przez króla i przez naród następcą tronu po bezdzietnym królu Fryderyku VII.

Niemiec z krwi i kości, Chrystyan IX od młodych lat był nieprzyjacielem Niemców. Gdy wybuchła pierwsza wojna szllezwicko-holsztyńska, ówczesny książę Chrystyan zaciągnął się w szeregi duńskie i walczył przeciw wojskom niemieckim, któremi dowodzili jego bliźni i dalsi krewni. Niechęć do Niemiec pozostała mu na całe życie.

Od młodych lat przyzwyczał się do życia skromnego; będąc oficerem w armii duńskiej, dla powiększenia swych dochodów udzielał lekcji rysunków. Jako monarcha poprzestał na dawnej skromności i dzieci swoje do niej przyzwyczajają; wszystkie córki musiały z obowiązku uczyć się szycia sukien i kapeluszy, aby mogły same sobie sporządzać ubranie.

Turyści, zwiedzający pałac królewski w Kopenhadze, nie mogli nadziwić się jego skromności. W środku gmachu na 1-em piętrze apartamenty króla, składały się z kilkunastu załedwie pokoi. Na prawo oddzielne apartamenty dla gości z Petersburga, na lewo dla królów: angielskiego i greckiego. Dalej w niewielkim rozmiarach pałacu mieściła się rodzina, jak wiadomo bardzo liczna, której członkowie zajmują rozmaite stanowiska. Następca tronu miał trzy pokoje, wszyscy inni po dwa: sypialny i gabinet. W ten sposób wytworzył się

istny hotel. Aby uniknąć możliwych pomyłek, każdy z „lokatorów“ pałacu przyczepiał na drzwiach bilet wizytowy.

Gdy dzisiejszy król Edward zaręczył się z księżniczką Aleksandrą, królowa Wiktorya poprosiła króla Chrystyana, aby jej przysłał fotografię „buduaru“ księżniczki. Chciała jej urządzić taki sam w Anglii, aby przysłała księżna Walii czuła się na ziemi angielskiej jak u siebie w domu. Król w niemałym znalazł się kłopotcie, wreszcie odpisał, że fotografii przysłać nie może, bo księżniczka Aleksandra nie ma wcale buduaru.

O życiu rodziny królewskiej obiegają rozmaite anegdoty. Na żelaznych sztachetach, otaczających pałac, wisi karta zwyczajna, z napisem przez deszcz zmytym: „uprasza się nie zaglądać do okien w czasie obiadu“. Ta karta jest tak wymowna, że wszelkie wyjaśnienia są zbyteczne.

Naprzeciw tej właśnie karty znajdują się okna sali jadalnej, w której często gromadzili się władcy państw rozmaitych, należących do rodziny duńskiej. Do stołu zasiadano nie według znaczenia, lecz według wieku. Najmłodszy, bez względu na ich pozycję, zasiadali na „szarym końcu“. Etykiety dworskiej nie było tam wcale.

A król Chrystyan? Nie było chyba na świecie króla bardziej popularnego. Zapalony amator przechadzek pieszych, spacerował godzinami po ulicach Kopenhagi, sam, bez adjutanta, wstępował do sklepów, rozmawiał z ludźmi, których bez ceremonii zaczepiał. Raz wdał się w rozmowę z robotnikiem, układającym szyny tramwajowe. Rozmowa skończyła się w ten sposób:

— Wiesz, królu, co ci powiem? Jesteś dobrym królem, najlepszym; mówią nawet, że takiego jeszcześmy nie mieli.

— Ba! — odrzekł Chrystyan — to rzecz gustu. Zresztą ja w tej kwestyi sędzią być nie mogę...

Wobec zalet takich zrozumiałem się staję, że wszyscy zawsze mówili z największym szacunkiem i miłością o królu Chrystyanie.

Obecnie na tron duński wstąpił najstarszy syn jego, jako król Fryderyk VIII.

O narodzie duńskim pisała u nas w 1904 r. pani Weryho zajmujące „Listy z Danii“.





## Nadzwyczajne wycieczki w przeszłość.

### Wstęp. — Pierścień magiczny.

Pewnego razu, gdy pracowałem w swym gabinecie, oddano mi list treści następującej:

Alfacar (wieś, leżąca na północ od Grenady)  
Sierra Jarana. Hiszpania.

6-go kwietnia, 19...

Kochany Filipie!

Donoszę Ci, że się Twój rękopis odnalazł. Na ten cenny dokument, odnoszący się do panowania Mahometa II el Fakih, przezwanego Emirem al Mumenim (XIII-ty w. ery chrześcijańskiej, natrafiłem przypadkiem w jakimś sklepiku, gdy zwiedzałem żydowską dzielnicę Alhambry. Rozpocząłem poszukiwania nie tylko w celu okazania Ci usługi—raczej dla rozproszenia własnej nudy: nie zasłużyłem więc na żadną wdzięczność z twej strony.

Twój całym sercem

Karol.

N. B. Nie chcąc powierzać hiszpańskim pocztom rzeczy tak cennej, posyłam Ci ów rękopis przez człowieka, w którym pokładam zaufanie niograniczone, i który jedzie z Hiszpanii do Francji w interesie własnym. Człowiek ten nazywa się Mohammad-Ali-Benhud i twierdzi, że jest potomkiem ostatnich królów Grenady. Jest bajecznie bogaty i zajmuje się trochę astrologią. Jednym słowem osobistość wybitna. Nie wątpię, że przyjmiesz go serdecznie, skoro Ci powiem, że mam dla niego dużo przyjaźni.

Po odczytaniu tego listu czas jakiś stałem w głębokim zamyśleniu. W gruncie rzeczy zapomniałem zupełnie o owym cennym rękopisie z czasów Emira al Mumenim. Wiadomość o odnalezieniu dokumentu tak nieoszacowanej wartości sprawiła mi ogromną przyjemność i zarazem była wielką niespodzianką.

Przed kilku laty poszukiwałem go zawzięcie, lecz w końcu dałem pokój, zrażony daremnymi trudami. Łatwo zatem zrozumieć, z jaką niecierpliwością wyczekiwałem maurytańskiego kupca, który miał mi doręczyć ten skarb upragniony.

W kilka dni po otrzymaniu listu służąca oznajmiła mi, że ktoś czeka na mnie w salonie. Z wyrazu jej twarzy poznałem, że gość ów musiał mieć wygląd niezwykły.

Nie myliłem się wcale. Gdy nieznamy wszedł do gabinetu, na pierwszy rzut oka zrozumiałem, że jest to właśnie ów Mohammad-Ali-Benhud, którego dotąd nie widziałem nigdy.

Powitał mnie na sposób wschodni, trzykrotnym ukłonem, z rękami wyciągniętymi. Potem wykonał ruch, opisywany niejednokrotnie w bajkach z „Tysiąc nocy i jednej“, ruch ten

polegał na podniesieniu ręki ponad głowę i oznaczał, że ręka ta na moje skinienie gotowa niezwłocznie opaść na dół. Podobnie zachowywał się zawsze Mewur wobec władcy prawowiernych.

Lecz potomek królów maurytańskich przypominał raczej Wezyra Dżyaffara. Był to starzec wzrostu wysokiego. Błyszczące oczy stanowiły kontrast jaskrawy z żółtą cerą i białą brodą. Szlachetny wyraz twarzy podnosiło jeszcze wspaniałe ubranie w stylu wschodnim: z pod szerokiego płaszcza wyglądała barwna, złocista szata. Cała postać Mohammada jaśniała jak gwiazda na ciemnym tle mego gabinetu.

Podąłem gościowi krzesło i turecką cygarete. Usiadł z wdziękiem niezwykłym, obracając w palcach cygarete.

Następnie wręczył mi rękopis, który dostał z pomiędzy fałd swej luźnej szaty, prawdopodobnie chcąc mi dać dowód, że się nie rozstawał z nim ani na chwilę. Rozpoczęliśmy rozmowę. Kupiec - uczonego przywiózł mi jaknajlepsze wiadomości od Karola; zrećźnie zaznaczył, że w sprawie odnalezienia rękopisu zainteresowany był osobiście; z kilku słów, rzucanych od niechcenia, zrozumiałem, że mój interlokutor był wielkim znawcą historycznych zabytków Grenady. Mówił wyborną francuszczyzną. Z zajęciem oglądał wszystkie sprzęty, znajdujące się w moim gabinecie. Siedział na sofie rozparty niedbale na miękkich poduszkach, a wzrok jego błądził na prawo i lewo. Stosownie do wskazówek mego przyjaciela wysiłałem umysł, aby godnie przyjąć szanownego gościa. Kazałem podać kawę w zbyt licznych filiżaneczkach, które od czasów niepamiętnych stały pod szkłem w pokoju mojej żony. Wreszcie ofiarowałem trzy kosztowne cygara. Oczywiście przyjęcie moje z konieczności dalekiem było od przepychu, z jakim sułtan Indyjski podejmował Aladyna; nie mając jednak do swego rozporządzenia ani niewolnic, ani tancerek, nie mogłem wystąpić wspanialej; rachowałem na to, że Mohammad oceni moje dobre chęci.

Parę godzin spędziliśmy na miłej pogawędce, nie ruszając się z otomany. Czas ten wydał mi się niesłychanie krótkim; Ali-Benhud bowiem rozprawił o starożytnościach maurytańskich z głęboką znajomością rzeczy. Kwieciste, zdobne, słodkie jak miód frazesy płynęły z ust jego potokiem. Mówił dużo o znakach kabalistycznych, o talizmanach tajemnych, za pomocą których zbudowano — zdaniem jego — Alhambrę w przeciągu jednej nocy. Nagle urwał i zbladł gwałtownie:

— Co panu jest?—zapytałem przestraszony.

Wskazał palcem na mały brelok, zawieszony u mego zegarka.

— Skąd... od kiedy... pan to posiadasz?



Pytał cicho, głosem drżącym od tłumionego wrzenia.

— Pierścień ten?... Nie pamiętam dokładnie... może od lat dziesięciu... Pochodzi ze Wschodu i jest bez wartości...

— Bez wartości! Czy wiesz pan...—tu zniżył głos jeszcze bardziej—czy wiesz pan, czym jest właściwie ten przedmiot, który pan nosisz jako brelok?

— Prawdziwie nie wiem.

Mohammad odczepił pierścień od dewizki i kładąc go na dłoni, rozpatrywał starannie ze wszystkich stron.

— Niema wątpliwości. To z pewnością on. Potem zwracając się do mnie dodał:

— Czy wiesz pan, co to jest *talizman*?

— Mój Boże! Naturalnie, że wiem. Przecież w *Tysiąc nocy i jednej*...

— ...Jest często mowa o tabliczce magicznej Genniego z Eblisu; lecz nie da się ona nawet porównać z Chamyrem, kruszącym skały, dzięki któremu Salomon mógł wybudować swą wspaniałą świątynię, ani też z Châthoumem, który na żądanie Aslan-Abu-Seida prznosił go w krainy...

— Ponieważ nie mam zamiaru budowania świątyni—przerwałem—wołałbym posiadać ten drugi talizman.

— Chamyr—ciągnął dalej Mohammad—był to niegdyś robak ziemny, strzeżony przez dzikiego koguta na szczycie gór. Później dostał się w ręce Salomona. Châthoum zaś należał do Genniego, króla Gennów i całej Arabii przezwanego Abildaha. On to kazał wryć na oprawie pierścienia i na kamieniu święty wzór, nadający mu władzę tak dziwną. Talizman ten porwała podstępnie od Abildaha piękna księżniczka, córka czarnego Melek Garfricka, króla Arabii Szczęśliwej, który następnie osiedlił się w nowej części świata, nadając jej swe imię. Châthoum więc oparł się aż w Afryce. Następnie stał się on własnością mądrego Mograba, później Aslan-Abu-Seida, wreszcie przepadł bez śladu... Z ksiąg dawnych astrologów dowiedziałem się, że z biegiem czasu talizman ten został podzielony na dwie części; a zatem stracił swą potęgę; czyż to możliwe bowiem, aby te obie części od setek wieków osobno wędrujące po świecie, znalazły się nagle w rękach jednego człowieka?!

Teraz chyba zrozumie pan z łatwością, że widok zawieszonoego u pańskiej dewizki sygnetu, w którym od pierwszego rzutu oka rozpoznałem głośny Châthoum króla Gennów, mógł mnie wprowadzić w osłupienie.

— Jakto?—zawołałem,—więc pan utrzymujesz, że ten poczerniały metalowy pierścień, który kupiłem za dwadzieścia centymów, czyli

cztery sous od negra, handlującego daktylami i fałszywymi klejnotami pod jedną z arkad Palais-Royal'u...

— ...Jest nieoszacowanym talizmanem. Tak, nie sądzę pan, że się mogę omylić. Na podstawie długoletnich głębokich studyów nad wiedzą tajemną, mogę pana zapewnić, że mamy przed sobą właśnie Châthoum.

Tu zwrócił moją uwagę na znaki dziwaczne, wryte na oprawie pierścienia:

— Patrz pan: oto wzór kabalistyczny w tajemniczym języku Al-Kebiba. Oznacza on, co następuje: *Z mocy Bożej talizman ten należy do...* Abildaha nie zdążył zgłoskami niezatartymi wryć swego imienia... Talizman więc należy do tego, kto go w danej chwili posiada.

— Jakto!... —zawołałem z radością, więc, zdaniem pana Châthoum, najpotężniejszy z talizmanów, należy do mnie?

— Tak. Lecz nie masz się pan czego tak bardzo radować! Talizman nie ma żadnej wartości, dopóki w pierścieniu brakuje kamienia. W obecnej chwili posiadasz pan przedmiot niezwykle ciekawy — i nic poza tem.

— Istotnie — odparłem — ubawiony nieco ważnością, jaką Mohammad przypisywał pierścieniowi, lecz jaki pan masz dowód, że to jest istotnie ten sam talizman — jeżeli ma to być koniecznie talizman — a nie coś innego?

— Gdy talizman ma formę pierścienia, imię jego jest zawsze wryte na kamieniu i na metalu—odparł uroczyście Mohammad. Wobec tego, że kamienia brakuje, mogę panu pokazać tę nazwę wypisaną na obwodzie pierścienia w tym samym tajemniczym języku, co i wzór poprzedni. Oto ona:

*Châthoum.* Ta sama nazwa wryta jest i na kamieniu. Metal, jak pan to samo uważa, podobny jest do miedzi, kamień zaś ma barwę szarą, przypominającą popiół. Nie może być zaliczony do żadnej grupy minerałów znanych i posiada dziwną własność, a mianowicie: przy zetknięciu z metalem pierścienia zmienia barwę: staje się ciemno-zielonym, jak jajko kazoara.

— Co znaczy ta zmiana barwy?

Mohammad pomiął pytanie moje milczeniem.

— Jedynie kamień, o którym mówię — ciągnął dalej — posiada władzę wydarcia tajemnicy, jaką ukrywa sygnet. Skoro tylko czyjś palec dotknie liter, wrytych na kamieniu, ten ostatni obraca się dokoła swej osi i przy zetknięciu się z metalem wywołuje zjawisko osobliwe...

— Czy jest to zjawisko chemiczne?—zapytałem.

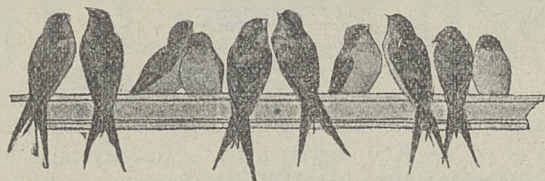
— W połowie elektryczne, w połowie chemiczne — ciągnął dalej Mohammad — dzisiaj



dowiedziano już, że władza dawnych astrologów opierała się równocześnie i na fizyce i na chemii.

— Doprawdy?—zapytałem z żywym zainteresowaniem.

(d. c. n.)



## Skrzynka do listów.

Dziękuję **Nadobrzanko** kochana. Gdybyś od czuć mogła, jaką podniętą w pracy są dla mnie takie jak twoje listy! Zdwaja ją przywiązanie moje do tej korespondencji, bo świadczą, że nie jest ona czczą wymianą słów, lecz wzajemnem podtrzymywaniem się w dążeniu do lepszej przyszłości narodu, który wszędzie z ciężką walczyć musi dołą. Życzę powodzenia biblioteczce, bodajby powstawały takie w każdej parafii a potem w każdej wsi!

Gonić za pieniędzmi dla częściej radości posiadania ich jaknajwięcej, jest poprostu brzydką chciwością, ale pragnienie zarobienia i pomnożenia majątku uczciwą i rozumną pracą, żeby zdobywać środki, któremi działać można wiele dobrego, temu przyklasnę zawsze i zawsze będę was zachęcała do energii i rzutkości w staraniu o lepsze jutro dla siebie i dla drugich. Powinniśmy mieć szlachetną ambycją za naszą ojczyznę, nie dość płakać nad nią, zabiegajmy lepiej aby przodowała cnotą i oświatą no — i zamożnością wszystkich swych obywateli, bo wszelka działalność kulturalna i humanitarna: ochrony, kościoły, szkoły, laboratoria. stacye doświadczalne, muzea i t. p. wymagają pieniędzy. Domysł twój trafny, ale nie przestaniesz przecie kochać Jaskółki?

Zawitałaś **Wiosenko** i raźniej zrobiło się w mojem gnieździe, bo wiosna wszystkich cieszy, każdemu w robocie pomoże, a choć wiele ma pracy, żeby śniegi z pól spędzić, kwiaty ze snu pobudzić, kłosa w chleb zaopatrzyć, zawsze uśmiecha się wesoło do świata. Czy ty potrafisz być taką Wiosenką, która cieszy ludzi i nawet szare, biedne robaki ogrzać umie?

Dziękuję ci **Jasiu** za list, który tak ucieszył Jaskółkę, że pofrunęłaby do ciebie, ale jeszcze za zimno na ptaszki. Co innego twój kuc, ten się mrozu nie boi, bo koń to zuch, on i na wojnie nie opuści swego pana. Zanieś, Jasiu, cukru konikowi i powiedz mu, że to od Jaskółki.

**Fragolo** kochana, prosiła mnie **Lilia**, żeby zapytać, gdzie można się zapisać do waszego stowarzyszenia? Podoba się Lili myśli szycia ubranek dla biednych dzieci, nie wątpię, że zechcesz donieść mi bliższe szczegóły o tem, jak rozwija się wasza wspólna praca.

Ptasi mój pazurek szepnął mi do uszka, że **Sikorcka**, **Pliszka** i **Dudek** z nad **Murały** cieszą się, gdy znajdują dla siebie liścik w «Wieczorach». A że wielkiem jest szczęściem móżdżek ptaszkom sprawić przyjemność, więc siostrzyczka Jaskółka przesyła skrzydlatej rzeszy serdeczne uściśnienia i zapytuje **Dudka**, czy

często miewa wiadomości z domu i czy nie zna czasem kolegi **Adasia**. Nosi on nazwisko dziadka generała K., który nie tylko w Polsce, ale i w Belgii zasłynął swą walecznością. Zrobisz mi **Dudku** wielką przyjemność jeśli uściśkasz ode mnie **Adasia** i napiszesz do **Jaskółki** o tym swoim koledze.

Nie mam żadnych wiadomości **Potoku Górski** o biednym **Niedźwiedziu** i sama bardzo pragnę upewnić się, czy zdrow wrócił z wojny. Co zaś do projektu tłumaczenia powiastek francuskich i oddania zarobku na cel szlachetny, to w zasadzie myśl dobra, ale trzeba, żeby wybór utworów i przekład był dobry, godny drukowania i zapłaty.

Kochanej **Nowej Ukraince** donoszę w imieniu redakcyi, że wiersz jej nie może być drukowanym. Przykro mi zasmucać cię tym wyrokiem, ale «Wieczory» mają prawo być trudne w wyborze nadsyłanych poezyi skoro tak piękne drukują utwory, jak np. wiersz w 5 numerze. Mnie wzruszył on do głębi serca. Dodałem **nowa** do twego pseudonimu dla odróżnienia od dawnej, bardzo miłej korespondentki, która odjechała daleko, a ja za nią gonię myślą.

Śliczny liścik napisała do mnie **Bielaska**, ale czemu nie próbujesz sama stawiać liter, spróbuj tylko, zobaczysz, jaki dobry podam ci sposób. Napisz najprzód jeden wiersz w kajecie przez miłość dla mamusi, drugi z kochania dla tatusia, a trzeci na radość **Jaskółki**. Ani się spostrzeresz, kiedy już będą trzy linijki, potem dodasz jeszcze trzy i już list gotowy, na złość **leniuszko**wi, który się zawstydzi i ucieknie od kochanego **Bielaska**.

Dlaczego miałabym się wyśmiewać z ciebie **Stokrotko**, owszem, pragnę zrobić znajomość z pierwszoklasistką, a przez nią ze wszystkimi koleżankami, bo **Jaskółka** to nienasycony ptak, chce jaknajwięcej kochać piskląt. Musisz tylko przystać na to, że do twego pseudonimu dodam **figlarka**, gdyż mam już kilka **Stokrotek** w naszym gronie, a jak sama piszesz, wolisz figlować niż grać. Przyjm więc dobrą radę **Stokrotko figlarko** i pracuj nad muzyką. Powiem ci w sekrecie, że ja także w twoim wieku niechętnie grywałam gamy, a dziś gorzko tego żałuje, bo muzyką uprzyjemniałabym nieraz czas moim ukochanym i sobie, ale żal przyszedł za późno, oby tak nie było z tobą.

Smutno zaszumiały twoje słowa **Jodło nadnie-meńska**, a nigdy dawne, innym pseudonimem podpisywane listy, nie były mi tak miłe jak ten ostatni. Kochać swoją ziemię, ufać ludziom na niej pracującym i mieć odwagę nie uciekać przed niebezpieczeństwem, to znamiona duszy szlachetnej. Oto dlaczego chciałabym postać ci uścisk serdeczny. Słusznie piszesz, że nie spodziewałam się, aby pisklęta moje przeżywać miały lata udręczenia i niepokoju, ale **Jodło** choć ciężko i duszno waszym młodym sercom w godzinach prób, to przecież niewolno nam być niewdzięcznymi, zapominać o podniosłych chwilach jakie przeżył już naród. „Świętą jest miłość kochanej Ojczyzny dlatego właśnie, że nawet spożyte dla niej trucizny smakują, że aby tylko móżdżek ją kochać, wspierać, nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać“.

Tak pisał przed stu z górą laty biskup **Krasicki**, starajmy się budzić w sobie dostojęństwo obywatela, które zamarło w wielu, a **Bogu** zostawmy troskę o jutro.

*Jas kółka.*







— Mój Boże! — woła strapiona Ania, obecna przy porządkowaniu rzeczy po zmarłym niedawno dziadku. — Dziadunio poszedł do nieba bez swych okularów. Jakże będzie tam czytał?

#### Przy umawianiu nowej służącej.

Pani domu umawia nową służącą, i wylizawszy jej obowiązki, kończy:

— A pamiętajcie Hanko, że pierwsze śniadanie jemy o 8-ej rano! — Dobrze, proszę pani, ale jak się spóźnię, to niech państwo na mnie nie czekają.

— Czy pański sąsiad — fortepianista ma dobre ucho?

— Nie wiem, jakie ma ucho, ale ma po-  
tężnie mocne palce — odpowiada biedny sąsiad.

#### Wyborca do swego posła do parlamentu.

— Co to znaczy, że ja nigdy nie czytam w pismach sprawozdania z pańskich przemówień?

— Jakto — ten odpowiada — spojrz pan: tu wydrukowana mowa ministra skarbu o nowych podatkach, a w nawiasach kursywą napisano: *szmer* i *hałas*. To ja właśnie robię *szmer* i *hałas*!

#### ODPOWIEDZI REDAKCYI.

**Trafne** rozwiązanie łamigłówek z ostatnich numerów przysłali H. Jaczynowska z Grodna, P. odolanka, Józio Malinowski, Mania Sochaczewska z Izbiicy, Broncia Ostrowska z Kijowa, Ir. By., Mietek Danielewicz.

**Jullusiowi i Marylee R.** Za ofiary dla głodnych serdecznie dziękujemy.

**Willii.** Szczegółowa odpowiedź na pytania damy w numerze następnym.

**Kalinie.** Z łamigłówek kropkowanej skorzystamy. W logogryfach końcowe litery powinny również składać jakąś nazwę.

**Zośce.** Konkurs rysunkowy ogłaszany bywa zwykle przed wakacjami. W łamigłówce i końcowe litery wyrazów powinny składać jakąś nazwę.

Ogłoszenia: po 15 kop. za wiersz petitowy jednoszpaltowy.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1. pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10. Zagranicą rocznie 13 kor. lub 12 marek.

OGŁOSZENIA: po 15 kop. wiersz 1-oszp. petitu.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

Redaktorka Ludwika Hauke. Wydawczynie Marya z Chomentowskich Balińska.

W drukarni E. Szyllera, Nowy-Swiat 26.

#### Od Redakcyi.

Do № dzisiejszego dołączamy **dodatek** za **Styczeń**, zawierający pierwszą część powieści „Ciernistym Szlakiem“ (ark. 1—6). Zeszyt lutowy będzie dołączony do do Nr. 8-go.

#### TREŚĆ:

Wśród Łotyszów, przez J. Verne'a (z ryc.) — Wspomnienia z lat młodzieńczych, przez St. Br. — Z Wilna. — Straszny sąd (wiersz z ryc.) przez Lacha. — Korkowe drzewo (z ryc.) — Król Krystyan IX. — Nadzwyczajne wycieczki w przeszłość, przez J. P. — Skrzynka do listów. — Zar iki. — Odpowiedzi. — **Dodatek:** Feniks i dywan czarodziejski (z ryc.) — Wesola czwórka, przez Lubliniankę. — Zadzania i łamigłówki.

## „GOSPODARZ”

Poradnik rolniczo-ogrodniczy.

Rok V. Dwutygodnik pod redakcją

**Edmunda i Stefana Jankowskich.**

Rocznie rb. 3, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. wraz z kosztami przesyłki.

Adres Redakcyi i Administracyi

w Warszawie, Warecka 14.

### Podręcznik kaligraficzny

POD TYTUŁEM

### „Praktyczny wykład nauki pisania”,

oparty na podstawie swobodnego układu figury i ręki ze wzorami i kaje-  
tami pomocniczymi

MARYI SZMIDTOWEJ,

niezbędny przy rozpoczynaniu nauki pisania z dziećmi od lat najmłodszych, jako też dla poprawienia charakteru pisma osób starszych, jest do nabycia we wszystkich księgarniach i główniejszych składach materiałów piśmiennych, oraz u autorki **Wspólna № 36.**

Wydawnictwo Jana Fiszera,

Warszawa, Nowy-Swiat 9,

## Królowie Polscy.

44 wizerunki Królów wykonane podług rysunków

**Jana Matejki.**

Cena egz. zbrosz. **rb. 3,** w ozdobnej oprawie **rb. 4.**



WIECZORY

RODZINNE.



## Feniks i Dywan czarodziejski.

(Ciąg dalszy.)

— Właśnie, że jest w dywanie jajko! — przerwała Kizia. — Naprawdę jest jajko!

Kupiec zbliżył się do dzieci i tupnął nogą:

— Wynosić mi się zaraz! — wrzasnął — albo zawołam policji! Jeszcze ktoś z kundmanów posłysz, jak mi tu obce dzieciaki, wymawiają, że tam coś znalazły w dywanie! Wynosić mi się, dopóki nie wezmę się do waszych uszu! Hej! policya!

Dzieci uciekły, zabierając co znalazły z sobą, i ojciec uznał, że nie mogły nic innego uczynić. Mateczka była trochę innego zdania. Ale ojciec rzekł, że dzieci mogą z czystym sumieniem zatrzymać owo jajko.

— Ten człowiek nie wiedział, że jajko jest w dywanie, kiedy go tu odniósł — mówił ojciec — tak samo jak nie wiedziała mama, kiedy go kupiła, więc mamy takie samo prawo pierwszych znalazców do tego jajka, jak i on.

Jajko położono na gzemisie kominka, w dziecięcym pokoju...

Piątego listopada ojciec i mateczka poszli do teatru, a dzieci były bardzo nieszczęśliwe, bo Trosserowie mieli mnóstwo fajerków, a one ani jednego. Nie pozwolono im nawet zapalić ognia w ogródku.

— Wymawiam sobie, żeby nie było żadnych zabaw z ogniem — zapowiedział ojciec, gdy go o to prosiły:

Kiedy już małe braciszek poszedł spać, dzieci usiadły smutne przed kominkiem, w dziecięcym pokoju.

— Strasznie się nudzę! — zaczął Cyryl.

— Pomówmy o *Psammedzie* — piaskoludku — zaproponowała Antea, która zawsze starała się ożywić rozmowę.

— Na co się zda mówić o nim? — zapytał Cyryl. — Jabym chciał, żeby się coś zdarzyło! Bardzo to przykro,

że niewolno wyjść wieczorem... Poprostu nie ma co robić, kiedy się odrobi lekcyę na jutro... Kizia skończyła w tej chwili swoje lekcyę, i zamknęła książkę z hałasem...

— Wielka to przyjemność, że mamy pa-mięć — odezwała się. — Możemy sobie myśleć i przypominać ostatnie wakacye...

Ostatnie wakacye mogły dostarczyć niemało wspomnień, bo dzieci spędziły je na wsi, w białym domu, stojącym niedaleko kopalni piasku, i zdarzyło się im tam mnóstwo przygód. Znalazły w piasku *Psammeda*, czyli *piaskoludka*, a on spełniał ich życzenia i dawał dary, jakie zażądały. Jeżeli chcecie poznać ich przygody, to zajrzyjcie do „Wieczorów Rodzinych“ 1904 r., a przeczytawszy *Dary* (historję o piaskoludku i dzieciach) nie pożałujecie tego. Dowiedcie się, czego żądała nasza czwórka i co im się zdarzało ze spełnienia owych żądań... Dla tych, którzy nie czytali „Darów“, a których bardzo żałuję, dodaję, że oprócz tej czwórki był jeszcze małe braciszek, zwany *Jagnięciem*, dlatego, że zanim zaczął mówić, beczął



Naraz w ogniu ukazał się ptak...



I to jeszcze dodam, że te dzieci nie były ani szczególnie ładne—ani szczególnie zdolne—ani szczególnie dobre. Nie były także złemi dziećmi, ot! takie sobie jak wy -- moi czytelnicy: zwyczajnymi dziećmi!...

— Niewielka uciecha wspominać to, co było -- odrzekł ciężko Cyryl. — Ja chcę, żeby się *teraz* coś zdarzyło.

— A jednak jesteśmy szczęśliwsi od innych — dowodziła Kizia. — Nikt inny nie znalazł *Psameda*, a myśmy znaleźli! Powinniśmy być wdzięczni za to.

— Ale dlaczego to nie trwało ciągle? — zapytał Cyryl. — Nie mówię o wdzięczności, tylko o tych darach *Psameda*.

— Może się znowu coś zdarzy — pocieszała Antea. — Wiecie? czasem zdaje mi się, że my jesteśmy tacy właśnie, którym się zawsze coś zdarza...

— Tak samo jak w historii — przerwała Kizia. — Jedni królowie są bardzo zajmujący, bo zawsze im się coś zdarza: a innym nie! Tyle tylko, że się urodzili, zostali ukoronowani, umarli i pochowano ich, a czasem i to nawet nie!

— Zdaje mi się, że Antea ma słusznosc — powiedział Cyryl — i że zarazby nam coś się zdarzyło, gdyby coś puścić w ruch... Trzebaby tylko zacząć...

— Szkoda, że w szkołach nie uczą sztuk czarnoksiężkich! — westchnęła Kizia. — Myślę, że gdybyśmy zaczęli takie sztuki, toby się zaraz coś stało...

— Trzeba pomyśleć od czego zacząć? — zrobił uwagę Robert.

Obejrzał się po pokoju, ale nie zaczerpnął żadnego pomysłu z wypłowiałych zielonych firanek, ani ze zmienionego brązowego linoleum na podłodze. Nawet nowy dywan nie natchnął go, pomimo że jego deseń był bardzo niezwykły, i nasuwał jakieś dziwne myśli.

— Moglibyśmy zacząć—odezwała się Antea. — Czytałam dużo o czarnoksiężnikach... Ale podobno to grzech...

— Grzech tylko wtedy, jeżeli się chce komu zrobić coś złego — odpowiedział Robert, ziewając. — A my nie mamy wcale tego zamiaru... Weźmy *Legendy Średniowieczne*: tam jest coś o *Abrakadabrze*. Możemy się zabawić w czarnoksiężstwo, jak Templariusze, którzy podobno urządzali czary za pomocą kozła i gęsi.

— Zaraz przyniosę *Legendy Średniowieczne* — zawołała Antea — a wy tymczasem odsuńcie dywan z przed kominka.

Porysowali kredą dziwaczne figury na linoleum, na tem miejsce, gdzie przykryty dywanem, zachował się świeżo. I zaczęli śpiewać najposępniejsze pieśni jakie tylko umieli,

ale — jak łatwo się domysleć — nic się nie stało. Więc Antea powiedziała:

-- Mnie się zdaje, że taki czarnoksięski ogień, powinien być rozpalony z pachnącego drzewa, i trzeba do niego dorzucić żywicy i różnych zapachów.

— Nie wiem o żadnym pachnącem drzewie, oprócz cedrowego,—zrobił uwagę Robert— ale mam resztki ołówków w cedrowej oprawie.

Popalili ołówki—ale mimo to, nic się nie stało.

— Dolejmy jeszcze eukaliptusowego olejku, który używamy w czasie kataru — zaproponowała Antea.

Doleli olejku. Rozszedł się bardzo silny odór. A potem dorzucili kawałek kamfory wyjęty z szafy. Kamfora zapaliła się jasnym płomieniem, i narobiła okropnego, czarnego dymu, który wyglądał bardzo na czary. Ale mimo to, nic się nie stało. Wyjęli z szuflady kredensu świeże obrusy, i powiewali nimi nad narysowanymi czaroksięskimi figurami kredą i śpiewali znowu. Ale bez skutku, bo nic się nie chciało stać. Powiewali obrusami coraz gwałtowniej, aż obrus, którym wywijał Robert zawadził o jajko, leżące na gzemie kominka. Jajko spadło i potoczyło się w kominek pod kratę.

-- Gwałtu! — krzyknęły dzieci.

I wszystkie pokładły się na ziemi, zagładając pod kratę kominka na błyszczące jajko wśród rozpalonego popiołu.

— Nie stłukło się!—zawołał Robert, i wsunąwszy rękę przez kratę pochwycił je.

Ale było straszne gorące, Robert puścił je natycomiast krzyknąwszy: Aj!

— Obcęgi dawajcie, obcęgi! — krzyknęła Antea.

Ale niestety, nikt nie mógł sobie przypomnieć, gdzie są cęgi. Zapomnieli wszyscy, że ostatni raz użyto je do wydobycia imbryczka talki który *Jagnię* wrzuciło w beczkę z wodą. I leżały sobie dotąd spokojnie, między beczką a śmietnikiem, — kucharka zaś nie pożyczycy nigdy swoich.

— Mniejsza o to!—powiedział Robert. — Wydobędziemy jajko pogrzebaczem i łopatką.

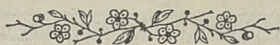
— Stój!—krzyknęła nagle Antea.—Patrzcie! Patrzcie! Patrzcie! Patrzcie!! Co się stanie.—Napewno!

Jajko było już rozpalone do czerwoności, a w jego wnętrzu, wyraźnie coś się ruszało. Po chwili dał się słyszeć lekki trzask: jajko pękło na dwoje, i wyszedł z niego ptak, koloru płomienia. Stał chwilę w ogniu, a gdy tam stał, dzieci widziały jak rósł coraz większy — rósł w ich oczach!



Wszystkie usta były otwarte — wszystkie oczy wytrzeszczone...

Ptaka podniósł się z płomienistego gniazda, rozciągnął skrzydła i wyfrunął na pokój. Fruwał w około — raz — i drugi — i trzeci — a tam, gdzie przefrunął, powietrze stawało się rozpalone. Potem usiadł na kratce otaczającej kominek. Dzieci spoglądały po sobie... (d. c. n.)



## Z teki powinszowań.

Nie zawsze bywa promiennie w duszy,  
Nie zawsze serce bije radośnie,  
Czasem w niem taki chwast bólu wzrośnie,  
Że wszystkie kwiaty szczęścia zagłuszy.

I ani marzyć wtedy o wiośnie,  
Spiżowym młotem los radość kruszy,  
I zsyła chwile ciężkich katuszy,  
Każe się ustom skarżyć żałośnie,

Mateczko moja (ojcze kochany) szczęście ty moje,  
Niechajże nigdy, nigdy twej doli  
Cierniowy wieniec trosk nie okoli

Niechaj cierpienia i niepokoje  
Precz odbiegają i myślą zdradną  
Do twojej duszy się nie przekradną.

z. z.



## Wesoła czwórka.

przez

Lubliniankę.



IV.

Nowy towarzysz.

Nazajutrz wieczorem, gdy ciocia po ukończeniu całodziennych zajęć siedziała w swym pokoju z książką do czytania, dzieci przybiegły do niej i prosiły, aby im użyczyła rady w w bardzo ważnej sprawie.

Tu dzieci, przerywając sobie wzajemnie, zaczęły opowiadać po raz dziesiąty już chyba o małej chatce w lesie, o staruszce i jej wnukach. Wreszcie zakończyły opowiadanie prośbą o radę, co mogą dla tych biednych, małych chłopców uczynić.

— Przedewszystkiem — rzekła ciocia, wyszukam jakich ubranek i bucików dla nich. Zaniesiemy im to jutro a tam dopiero dowiemy się od staruszki, w jaki sposób najlepiej przyjąć im z pomocą.

Uszczęśliwione dzieci rzuciły się cioci na szyję.

Wicek porwał zaraz lampę i pobiegł z nią do garderoby, gdzie zaczął tak energicznie szukać owych ubranek, że zanim ciocia tam przybyła, zdołał wszystko przewrócić „do góry nogami“

Praca jego jednak została uwieńczona pomyslnym skutkiem. Znalaziono dwa ubranka, kołdrę, buciki, nieco bielizny, żakiet cioci i kapelusz wuja. Wszystko to dzieci z wielkim tryumfem przyniosły do jadalnego pokoju i zawinęły w duże dwie paczki.

Nazajutrz zaraz po śniadaniu zaprzężono do sanek i uszczęśliwiona nasza czwórka pojechała wraz z ciocią do małej chatki w lesie.

Tu dowiedziano się od staruszki, że chłopcy nie mają już matki tylko ojca, który najmuje się do rozmaitych robót po okolicznych wsiach, i z tego lichego zarobku żywi ich wszystkich.

— Oj, ciężko nam, panienko, bardzo ciężko — kończyła staruszka.

— To aby tylko mamy, co syn zarobi i co mi dadzą za przedzenie lnu. Latem to jeszcze lepiej: są w borze grzybki, są jagody, borówki, to chłopaki je zbierają, zanoszą do miasta, na sprzedaż i jakoś się żyje. Ale zimą to niech Bóg broni jaka bieda!

— A cóż chłopcy robią?

— Ano, starszy we żniwa chodzi do roboty, młodszy, że to do pracy jeszcze za mały, to ciągiem jeno po lesie chodzi, albo w izbie pod piecem siedzi i patyki struże, a majstruje, a wycina, a taki, ciekawy do tej stolarki.

— To chciałbyś, Józiu, być stolarzem? — zapytał Jurek.

— O, bardzobym chciał! — odpowiedział człopczyk.

— I do książki taki ciekawy — ciągnęła dalej staruszka. Tamtej zimy chodził do szkoły, nauczył się coś niecoś litery składać, to teraz ciągle mnie prosi a prosi, żeby go na naukę posyłać, ale że butów nie ma, to musi w izbie siedzieć.

Dzieci zaczęły się po cichu z sobą naradzać. Bąbelek objął ciocię za szyję i coś jej szeptał do ucha, Jurek i Renia wyjęli z woreczka swe oszczędności.

— Moja kobieto, chcielibyśmy przyjść wam z pomocą — zaczęła ciocia.

— I my też i my też! — krzyknęły chórem dzieci.

— Macie tu ubranka dla chłopców, buciki, dla was ciepły kaftan...

— O, niech wam Bóg nagrodzi, paniusiu złocista — wstała ucieszona staruszka, całując po



rękach ciocię. Józiek, Stasiek, ady podziękujta, szturmaki!

Chłopcy ruszyli z pod pieca ku cioci a potem z okrzykami radości i podziwu zaczęli oglądać ubranka.

— Dla was będę miała dużo roboty — mówiła dalej ciocia do staruszki, zaraz jutro przysię wam tu lnu do przędzenia i parę worków pierza do zdarcia, zarobicie sobie tym sposobem kilka złotych dziennie. Starszego zaś chłopca możemy wziąć do stajni, do źrebaków. Jeśli więc jego ojciec zgodzi się na to, to przyslijcie chłopca w przyszłym tygodniu, dobrze?

Biedna staruszka, słysząc o tylu naraz obietnicach polepszania jej tak smutnej dotychczas doli, śmiała się i płakała naprzemian z radości.

— Ciociu, a my Józia zabierzemy z sobą do domu! — zawołał Bąbelek.

— Tak, tak, będzie chodził do szkoły rzemieślniczej!

— Nasz pokój jest bardzo duży, będzie tam miejsce i na Józia.

— Ależ, moje dzieci, trzeba wpierw spytać o to rodziców.

— O, rodzice tacy są dobrzy, oni się zgodzą!

— Ja mam dziesięć rubli, to je oddam na wpis za Józia.

— A ja mam pięć, to mu kupię za to książek i kajetów.

— Nie chcemy żadnych podarunków na imieniny, ani ciastek, ani cukierków! — wołali Jurek i Bąbelek.

Józiek stał w kącie z wytrzeszczonymi oczyma, sam nie wiedząc, czy ma się z tego wszystkiego cieszyć, czy też smuć.

Po długich naradach stanęło na tem, że chłopcy napiszą o Józiu do rodziców i będą czekali na ich decyzję.

W kilka dni potem przyszła odpowiedź od państwa Sarneckich, że zgadzają się na projekt chłopców i oczekują lada dzień przyjazdu całej piątki.

Renia bowiem i Wicek mieli teraz przyjechać do miasta i tu uczęszczać do szkół.

KONIEC.

## Zadania i łamigłówki.

### Szarada.

ułożyła Stefcia Rz.

Drugie, pierwsze to przeczyta

A ilu też zgadnie?

*Caly* teraz jest i kwita  
Tak brzmi koniec składnie.

## Zagadki ludowe.

podał Zbyszko Zmorowski.

I.

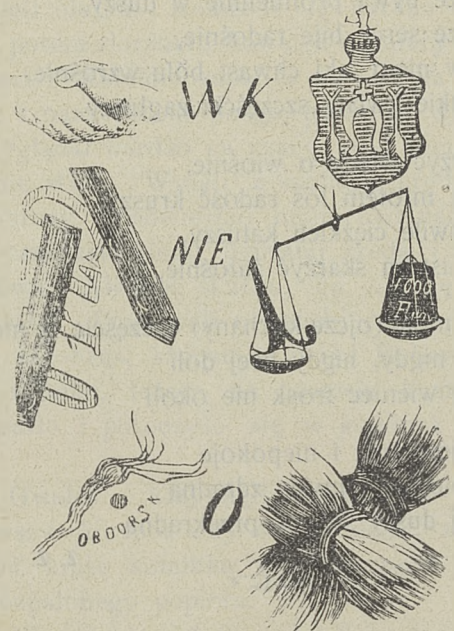
Z jakiego drzewa liść nigdy nie opada.

II.

Rośnie bez korzenia, kwitnie bez kwiatu, służy całemu światu

## Rebus.

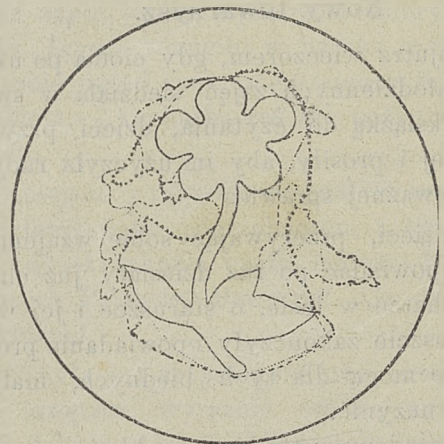
podał Aerolit.



Do ułatwienia rozwiązania dodajemy, że na końcu pierwszego górnego rzędu przedstawiony jest rysunek herbu «Łada».

## Rozwiązania do N-ru 4-go.

### Łamigłówki obrazkowej:



**Szarady figla:** Sty — czeń.

**Zagadki:** Raoom (morda, modra, darmo).